

WŁODZIMIERZ WNUK

O „INDYKU” INACZEJ

ZDECYDOWAŁEM się zabrać głos w dyskusji nad „Indykiem” Sławomira Mrożka, bo coś tu nie jest w porządku. Prawie wszyscy krytycy chwalą sztukę i jej krakowskie przedstawienie, niektórzy nawet bliscy są entuzjazmu, a tymczasem większość widzów opuszcza teatr z niesmakiem i niezadowolaniem. Recenzenci i nieliczne grupki widzów bawią się na przedstawieniu doskonale, tymczasem większość widzów zachowuje się martwo. Należę do tych, którzy się sztuką nie zachwycają i którzy oddziaływanie jej na widza oceniają negatywnie. Dlatego też, choć nie jestem fachowcem w tej dziedzinie, dorzucam swoje uwagi do toczącej się dyskusji.

Na wstępie, żeby nie było nieporozumień: „Indyk” jest napisany z talentem satyrycznym właściwym Mrożkowi, nie brak w sztuce ciętego dowcipu, ostrej drwiny, zabawnej groteski; samo przedstawienie jest od strony reżyserskiej i inscenizacyjnej ciekawe, gra aktorów w większości wypadków dobra, jeśli nawet nie bardzo dobra. A mimo to czuje się po całym tym „Indyku” coś w rodzaju niestrawności, niesmaku.

Przed wszystkim dlatego, że problematyka tej sztuki tylko pozornie zakrawa na „głębię” i „ostrość”, na jakieś nowe „Wesele” — w istocie bowiem jest powierzchowna i splotona. Ot, „ogólna niemożebność” Gombrowicza przeniesiona na scenę przy pomocy różnych dowcipnych chwytów Mrożka. „Owszem, można by się wziąć do tego czy owego, ale po co? Na niczym to nie zaważy, niczego nie polepszy, ani nam się pogorszy, ani poprawi,

zresztą wciąż nie ma odpowiedzi na pytanie naczelne. W jakim celu? I to zarówno doraźnie, jak i ogólnie” — w tych słowach Poety kryje się cała głębia sztuki. Boć chyba wyznanie Kapitana: „Do wszystkiego ochoty brak. Od środka. Od duszy samej. Nieochota”. Niewiele rozszerza ideę „Indyka” (sztuka zawdzięcza swą nazwę indykowi, który również zaraził się atmosferą ogólnej niemożebności, nawet mu się miłośnicy powinności nie chce spełniać...).

Niektórzy recenzenci snują analogię „Indyka” z „Weselem”, no bo niby tu i tam chodzi o to samo: ludzie „duża by już mogli mieć, iño oni nie chom chcieć”. Co za nieporozumienie! Abstrahuując już od tego, że w ogóle trudno zestawiać dramat, jakim jest „Wesele”, z mełofarsą (określenie samego autora), jaką jest „Indyk” — istnieje zasadnicza różnica między tymi sztukami w podejściu do problematyki narodowej. „Wesele” ukazuje wewnętrzny dramat naszego społeczeństwa, daje wspaniały, poetycki obraz wielkości i małości, siły i słabości narodu, odsłania jego schorzenia psychiczne, ale i elementy duchowej mocy — „Indyk” jest karykaturą społeczeństwa polskiego, jest sprowadzeniem naszej rzeczywi-

stość do wspólnego mianownika „nieochoty”, „niemożebności”, nie przemawiania się niczym, gwizdania na wszystko.

Część widzów, niewielka, bawi się na „Indyku”, znakomicie, a jakże.

Ale jak reaguje przeciętny widz? Wrzusza ramionami na całe przedstawienie, uważa się w pewnym sensie za nabranego; też mieli co pokazać! Że niby nikomu się nic nie chce, że wszystko „tu mi wisi”... Widz dobrze wie, że to zjawisko społeczne występuje u nas dość szeroko, ale wie także, że nie jest ono dominantą naszego życia, w którym z woli i wysiłku narodu rodzą się na naszych oczach bez przesady wielkie rzeczy.

Związki Zawodowe zorganizowały niedawno przedstawienie „Indyka” dla pracowników różnych zakładów pracy. W teatrze zjawily się całe rodziny, dorośli i dzieci, ot, jak to bywa na tego rodzaju „masówkach”. Przez cały czas trwania spektaklu panowała na widowni martwota, żadnej reakcji, żadnych oklasków. Jedynie w momencie, kiedy Kapitan wypowiada przysłowiowe „cztery litery”, wybuchł ryk śmiechu — i to jaki!

Lesław Eustachiewicz dopatruje się w „krzywym zwierciadle” na-

szego społeczeństwa, sprezentowanym w „Indyku”, jakichś przecież pozytywnych jego cech: że niby ostał się w tej społeczności wstręt do serwilizmu i szacunek dla indywidualizmu ludzkiego. Istotnie, można się tego w sztuce Mrożka doczytać czy dopatrzeć. Przynajmniej jednak, że to niewielka pociecha dla narodu, któremu poza tym generalnie wszystko obrzydło i zobojętniało, któremu „do wszystkiego ochoty brak” — jak to usiłuje w swojej farsie wykazać Sławomir Mrozek.

„Wyzwalając ukrytą gorycz naszych codziennych doświadczeń życiowych; Mrozek sublimuje ją” — pisze Eustachiewicz. Zapewne, można i tak odebrać „Indyka” — i oby jak najwięcej widzów w teatrze tak właśnie go odebrało. Zachodzi jednak niebezpieczeństwo, że ogromna ich większość przeżyje farsę Mrożka w sposób zwulgaryzowany: kpijmy i szczydmy z samych siebie, bo nie wiadomo, czy świat potra jeszcze trzy tygodnie...

Nie chciałbym być źle rozumiany: nie chcę tu rzucić gromów na najnowszą sztukę Mrożka, która ma swoje ważności i na pewno warta była wystawienia. Tylko nie czynicie z niej wielkiego wydarzenia teatralnego, bo na to nie zasługuje — ani od strony swej treści ideowej, ani od strony walorów scenicznych. I nie czynicie z „Indyka” strawy duchowej dla szerokich mas, bo zupełnie do tego się nie nadaje.

„W sześćdziesiąt lat po „Weselu” Wyspiańskiego kronika teatralna krakowska notuje znów premierę, z której długo snuć się będą dymy po literaturze”.

Szanuję bardzo wszystko to, co pisze Lesław Eustachiewicz, ale nie mogę tej wypowiedzi potraktować inaczej, jak tylko w kategoriach „licentia poetica”.